Rok VI. **Kraków, Sobota 16 Lutego 1901.** **Nr. 7.**

Cena prenumeraty
z przesyłką:

w Austryi:

rocznie . . . . kor. 4.—
półrocznie . . . „ 2.—
kwartalnie . . „ 1.—

za granicą:

rocznie . . . . kor. 5.—
półrocznie . . . „ 2.60
kwartalnie . . „ 1.30
Pojedynczy numer 10 hal.

Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej.

PRAWDA

pismo poświęcone sprawom religijnym, narodowym, politycznym, gospodarskim i rozrywce.

Prenumeratę
oraz wszelkie korespondencye nadsyłać należy pod adresem:

Redakcya „Prawdy“
Kraków, ul. Kanonicza Nr. 6.

Biuro redakcyi otwarte codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel, od godz. 10—1 przedp. i od 2 — 4 popoł.

Rękopisów się nie zwraca. Nie przyjmuje się listów nieopłaconych.

„Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują“. Psalm 126.

Wychodzi w każdą sobotę.
Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **X. Dr. Franciszek Gołba.**

Kupujcie u chrześcijan | Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. | **Módl się i pracuj.**

Dzierżawa propinacyi.

Jesteśmy jakby na wojnie, gdzie o każdą piędź ziemi się walczy; kto ustępuje, ten przegrywa, kto naprzód idzie, ten zwycięża.

Przez długie lata, ale co ja mówię, przez wieki całe ustępowaliśmy, cofaliśmy się, a pozwalaliśmy iść obcym przybyszom naprzód. Oni zagarnęli handel, oni dzierżawili propinacye, myta, targowe i tym podobne rentujące się przedsiębiorstwa. Wyrobiło się nawet to przekonanie, że kupcem mógł tylko być żyd, arendarzem na karczmie żyd, na mycie, na przewozie, na moście, na kopytkowem żyd — opłaty targowe, konsumpcyjne mógł tylko mieć żyd. Mało kto odważył się nawet stanąć do licytacyi, żydzi nie dopuścili. Klęska to była straszna dla nas.

Ale teraz już lepiej. Już widzimy sklepiki chrześciańskie po wsiach (oby tylko miały skąd pobierać towary!), już spotykamy katolików na mycie, na przewozie, przy mostach, już widzimy ich pobierających targowe i opłaty konsumpcyjne, a nawet — nie do uwierzenia w dawniejszych czasach — katolicy biorą się do propinacyi i te posterunki zdobywają dla siebie.

Ważne to bardzo, bo karczma czyli propinacya to jakby obóz warowny, w którym się nieprzyjaciel usadowił, nikt nie przejedzie drogą bez jego wiedzy, o wszystkiem wie, co się w okolicy dzieje, wszystko potrafi wykorzystać, jest postrachem spokojnej ludności — a takim nieprzyjacielem bywał propinator-żyd.

Zażarcie on broni tego obozu, bo to kwestya jego życia. Na wszelkie ofiary on się zdobędzie, wszędzie się potrafi uniżyć, upokorzyć i prosić, byle tylko utrzymać się na dawnem miejscu przy propinacyi.

Jeżeli zaś katolikowi uda się wziąć prawo propinacyi w dzierżawę, to naprawdę warto powinszować takiego zwycięstwa. Boć pewna, że we wsi, a zwłaszcza przy drodze, potrzebne są takie miejsca, gdzieby podróżny mógł się ogrzać i wypocząć; ludzie też zawierają ze sobą różne umowy, kontrakty kupna i sprzedaży, potrzebują się czemś jeden drugiemu przymilić i ułatwić sobie zgodę; zejdą się czasem po kilku latach niewidzenia i mają sobie dużo opowiadać, napitek jakiś w tym wypadku dopomoże i do zgody i do zabawy i do odnowienia przyjaźni. Już zaś lepiej jest, jeżeli taki napitek ma katolik, bo wtedy i katolikowi milej i w wierze swej nie obojętnieje i wstyd go wstrzymuje popełnić jakiś występek, którego przed żydem na pohańbienie naszej religii nie wstydził się, bo żyd wszystko pokrył, wszystko osłonił, byle tylko miał w tem zysk. Tu więc jest wielka korzyść dla dobra ludności, że wobec katolika katolik uczuwa pewien lęk. Trafiają się i tu pewne zboczenia, ale są one tak nieznaczne i tak mała ich liczba, że można je wybaczyć.

Jest jeszcze to dobre w całej tej sprawie, że katolik propinator tylu ma sędziów, ile ludzi we wsi, więc musi i on bać się o siebie, bo jeżeli tylko u niego raz się coś stanie, co u żyda było na porządku dziennym, wie o tem cała wieś, wie cała parafia, wie ksiądz proboszcz i jako duszpasterz potrafi złemu zapobiedz.

Zatem dla dobra doczesnego, ale jeszcze więcej dla moralności, pożytecznem jest, by katolicy brali prawo propinacyi w dzierżawę. Osobliwie łatwo to może przyjść Kółkom rolniczym, bo reprezentant rządu hr. Łoś w Sejmie r. 1900 przyrzekł, iż Kółka rolnicze wobec równych warunków mieć będą pierwszeństwo przy licytacyi. Tego doświadczyło Kółko

rolnicze w Tłuczani na wiosnę 1900 r. Właśnie była rozpisana licytacya na dzierżawę prawa propinacyi na okres 10 lat w gminie Kosowa i Chrząstowice. Obydwie gminy należą do parafii Tłuczań, więc Kółko rolnicze w Tłuczani powzięło myśl ubiegać się o tę dzierżawę. Przy pomocy głównego Zarządu Kółek rolniczych wszystko poszło całkiem gładko. Rząd dotrzymał przyrzeczenia i oto od 1 stycznia 1901 r. w Kosowy i Chrząstowicach są szynkarze katolicy jako delegaci Kółka rolniczego. Szczęść im Boże w tej pracy dla dobra ludności.

Prośba do Koła Polskiego.

Jeżeli Koło Polskie nie weźmie jakiej sprawy w ręce, to kraj, a więc ani lud, ani mieszczanie, ani urzędnicy niczego się we Wiedniu nie doczekają. Jeżeli Galicya od czasu nadania konstytucyi jakieś korzyści uzyskała, przyczyniło się do tego Koło Polskie. A nawet ostatni okres trzechletni Rady Państwa mógłby to najlepiej udowodnić. Daszyński, Stapiński, Winkowski, a później Stojałowski narobili krzyku dużo, a z tego dla kraju żaden pożytek, chyba wstyd; a przeciwnie Koło Polskie nie narobiło krzyku, a przecież dużo pracowało. Ma bowiem środki po temu, ma znaczenie i ludzi zdolnych.

Tak i teraz lud tylko od Koła Polskiego może się spodziewać polepszenia swej doli; od «zjednoczenia stronnictw ludowych» nic mieć nie będzie, nie dlatego, że mało posłów w tem «zjednoczeniu», ale że są oni bez znaczenia, oni to sami najlepiej wiedzą, nie potrzebujemy ich sądzić. (Obecnie zjednoczenie to już się rozpadło. *Przyp. Red.*)

W Kole Polskiem są posłowie z V i IV kuryi, wybrani większością głosów. Otóż tych posłów bardzo prosimy, aby swych wyborców włościan nie narażali na pośmiechowisko i na prześladowanie, któreby rzeczywiście wybuchło ze strony «zjednoczenia», jeżeliby nowi posłowie byli bezczynni.

A tę czynność tak rozumiemy, by nowi posłowie wywiadywali się o potrzeby ludności, by także wnosili interpelacye, by swe mowy, wygłaszane w Kole Polskiem i w pełnej Izbie, podawali do publicznej wiadomości zapomocą pisemek ludowych, by składali co chwila sprawozdania poselskie. Niech lud pozna, kto prawdziwie dla niego pracuje, a kto tylko obiecuje.

Nie wystarczy, że wiadomości z Koła Polskiego wydrukuje jakaś wielka gazeta np. «Czas», «Przegląd» itp., tych lud nie czyta, bo go nie stać na nie, ale potrzeba, by Koło Polskie w własnym interesie sprawozdania posyłało do mniejszych gazet, które lud czyta. Wielkie gazety mają tam swoich sprawozdawców, bo ich stać na to; złe pisma ludowe mają tam także sprawozdawców w osobach posłów, a nie mają te pisma, któreby mogły lud nie rozdrażniać, ale oświecać. Niechże więc Koło Polskie rozważy tę sprawę w swym własnym interesie i poweźmie jakąś uchwałę.

Rada państwa.

Przyszłość co do uczynienia parlamentu zdolnym do pracy jest bardzo wątpliwa. Sprawa językowa jest przyczyną dotychczasowych zaburzeń w Izbie i ona doprowadzi do rozwiązania parlamentu. Już na pierwszem posiedzeniu czescy posłowie Klofacz i towarzysze wszczęli awanturę z powodu języka przeciw prezydentowi ministrów dr. Koerberowi — tak samo żądali oni od prezydenta Izby dra Weigla, by w mowie otwierającej parlament używał języka czeskiego lub polskiego, lub w ogóle słowiańskiego, tak również na wczorajszem posiedzeniu Izby Niemcy z Wolfem na czele rozpoczęli piekielny hałas z tego powodu, iż jeden z wniosków był w Izbie czytany po czesku. Niemcy wywdzięczyli się Czechom. Przyszło do ostrej wymiany słów między Niemcami i Czechami, a skończyło się na grożeniu sobie pięściami i doskakiwaniu wzajemnem. Później przyjdzie do bitki — poprostu burdy karczemnej.

My Polacy podzielamy zdanie Czechów, iż mogą być wnioski czytane w języku niemieckim, mogą być czytane i w czeskim i polskim itp. Język niemiecki bowiem nie jest językiem państwowym, a Austrya państwem niemieckim. Ale pp. Wolf, Schoenerer i towarzysze mają inne cele na myśli. Im chodzi o to, by język niemiecki uczynić w Austryi państwowym a Austryę podporządkować pod cesarstwo niemieckie. Dążą do tego otwarcie. Nasze sympatye są po stronie Czechów — ale z kim będzie trzymała grupa polskich posłów, zostających pod komendą X. Stojałowskiego i Stapińskiego, tj. Bojko, Wilk, Kubik, Szajer, Krępa, Fijak, Bomba, Orzechowski? Już w Izbie robią przykre wrażenie tem, że siedzą osobno między socyalistami i obok Niemców. Dlaczego po prawej stronie, którą zajęli Polacy, Czesi i Rusini, nie ma żadnego Niemca, tylko X. Stojałowski i Stapiński kazali swym pupilom na wstyd i hańbę narodu polskiego, zająć miejsca między nieprzyjaciółmi wiary i ojczyzny, jakby od nich i u nich lud polski wymagał ratunku i oparcia. Jakiem czołem staną ci posłowie przed swymi wyborcami i powiedzą im: «honor i obowiązek nakazywał nam łączyć się z Niemcami i socyalistami, ale nie z Polakami».

Nie obwiniam tak dalece tych posłów, czy ci uznają ich winę mniejszą z tego względu, iż zły duch, a raczej złe duchy, X. Stojałowski i Stapiński, ciągle

swe skrzydła nad nimi roztaczają, ciągle w kurytarzach parlamentarnych z nimi konferują, pouczają, rad dodają. A ci jak dzieci ślepo im są posłuszni. Albo wyrażenie jednego z nich, iż wolałby sztylet w serce mieć wbity, niż to, iż księdzu katolickiemu i Polakowi podał rękę — jest dowodem zupełnego zatracenia zdrowego rozsądku i przejęcia się zasadami tak płytkiemi, jakie tylko niedojrzały człowiek może wygłaszać.

Zresztą mniejsza o nich. Koło polskie bez nich się obejdzie, ale czy oni obejdą się bez uczucia tego, iż jako liczebnie słabiutcy, potrzebują się koniecznie o jakąś siłę narodową oprzeć? — a tu niema o kogo innego, tylko o tych, którzy od wieków na naszą zagładę czyhają, a właśnie jako wilcy radzi są, iż na głupich baranów nie potrzebują polować, gdyż ci im sami w paszcze włażą.

Może się barany upamiętają. I co dałby Bóg.

Dnia 8 lutego dokonano wyboru prezydyum Izby. Zanosiło się na burzę, albowiem Niemcy nie chcieli zgodzić się na wybór byłego prezydenta dra Fuchsa, natomiast Polacy i Czesi na proponowanego przez Niemców posła Pradego. Po porozumieniu się dopiero przewodniczących klubów w tej sprawie, nastąpiło uspokojenie poczynającej się już burzy i w piątek 8 b. m. dokonano wyboru przewodniczącego izby tak zgodnie jak rzadko. Na 374 głosujących otrzymał hr. Vetter v. d. Lilie 360 głosów, 14 zaś oddano kartek próżnych, a po jednym głosie otrzymali: Schoenerer, Berger, Prade i wspaniały Wolf. Wiceprezydentami obrani zostali Prade i Zaczek. Przewodniczący hr. Vetter Maurycy liczy 45 lat, silnie zbudowany przystojny mężczyzna o czarnym zaroście, syn naczelnika kraju z Moraw, jest on radcą namiestnictwa w Bernie — wybrany został posłem z wielkiej posiadłości.

Wygłaszając mowę z powodu wyboru na przewodniczącego, zapowiedział prowadzenie toku obrad w parlamencie ściśle przedmiotowo i zupełnie bezstronnie, odwołał się do wszystkich stronnictw, by porzuciły wzajemne niedowierzanie, a szanowały przekonania politycznych przeciwników, a pracowały tylko dla dobra i pożytku wspólnej ojczyzny.

Dnia 12 bm. odbyło się posiedzenie izby.

Dnia 13 bm. odbyło się posiedzenie Koła polskiego dla uchwalenia zmian statutu. Komisya wybrana w tym celu ukończyła swe prace a projekt nowego statutu wraz z dawniejszym rozdany został posłom. (O tem będzie w drugim numerze. *Przyp. Red.*)

Obecnie z powodu zgody wszystkich stronnictw w Izbie przy wyborze prezydyum jest nadzieja, iż obrady w parlamencie pójdą spokojniej, a tem samem parlament będzie zdolnym do pracy. *Ja.*

Wiedeń. Umarł tu w poniedziałek były król serbski Milan.

Jak rabin Serafinowicz nawrócił się na wiarę chrześcijańską?

Uczony Dominikanin ks. Sadok Barącz w książce swej p. t. *„Pamiątki miasta Żółkwi“* [1]) przytacza arcyciekawy żywot i nawrócenie się na wiarę chrześcijańską rabina Serafinowicza, który tak opiewa:

Urodził się Serafinowicz w Brześciu Litewskim dnia 5-go kwietnia 1686 roku z ojca Jakóba Szawła, rabina grodzieńskiego. W roku piątym zaczął się uczyć hebrajskiego języka i tak znacznie w dalszym czasie postąpił w naukach, że mu rabin wileński Hizel dopiero lat 13 mającemu, dał córkę swoją za żonę.

W roku 18-tym życia swego dla nauki swojej został rabinem najwyższym litewskim, Brzeskim. Jako uczony i przenikający Pismo i proroków, gdy czytał owe słowa Izajasza proroka: *Oto panna pocznie i porodzi Syna i będzie nazwane imię jego Emanuel*—i wiersz 27 psalmu 88: On będzie mię wzywał: »Ojcem moim jesteś ty«, mówi do żony: prawdziwie wiara chrześcijańska jest dobra. Żona, obawiając się w nim odmiany jakiej, posłała do Wilna po ojca swego rabina wileńskiego, ale ten nic z niego nie mógł wydobyć i wrócił się nazad. Serafinowicz zaś biedził się sam w sobie długo, myśląc ustawicznie, jakby i inne pisma mógł sobie ułatwić i wybić z głowy uznanie prawdy chrześcijańskiej. Z jednej strony żal mu było tak wysokiego rabiństwa odstąpić, z drugiej strony zaś sumienie nie dało mu pokoju, zawsze mówiąc do niego wewnętrznie, że już obiecany Mesyasz przyszedł i ten właśnie, którego chrześcijanie poznawszy, czczą i szanują.

Przyszło do tego, że z owej ustawicznej i natężonej myśli wpadł w manię, w której był przez półtora roku. Chociaż zaś krewni różnych zażywali medyków (lekarzy), nic mu nie pomagało. Więc namówiwszy się między sobą, zawieźli go do Żółkwi pod Lwów, do jednego żyda, sławnego czarownika. Ten po długich wieszaniach chorego w dymie, wzywaniach czartów z piekła, gdy widział, że mu nic nie pomaga, gotował się na większe czary. Tymczasem jako maniaka osadził go w dolnej izbie Nozona, faktora króla Jana III., włożywszy mu na ręce i nogi żelazne pęta i kajdany, w środku zaś był opasany łańcuchem. Gdy tak siedział, ulżył mu Pan Bóg szaleństwa (co i przedtem miewał, ale jak zaczął się sprzeciwiać powołaniu Boskiemu, znowu wpadał w szaleństwo). W tym czasie jakoby ze snu obudzony, przyszedł do poznania stanu swego i wszystkie się znowu myśli do wiary chrześcijańskiej zwróciły, w których zostając, rzekł do Pana Boga z podniesieniem serca swego te słowa: Boże chrześcijański, jeżeliś jest prawdziwym Bogiem, spraw, żeby te żelaza ze mnie

---

[1]) Lwów 1877.

opadły i zdrowie mi się pierwsze wróciło, a ja obiecuję ci w wierze twojej służyć aż do śmierci. Jak tylko te słowa skończył, w tej chwili zaraz kajdany i okowy spadły z rąk i nóg jego i okno izby owej, w której siedział, samo się otworzyło. Wyszedłszy przez nie, uciekł na cmentarz Kollegiaty żółkiewskiej i oświadczywszy się z pragnieniem swojem przyjęcia wiary Chrystusowej, cudem nad nim świeżym potwierdzonej, był u księży tamecznych na próbie i dla przygotowania się do chrztu świętego przez trzy niedziele.

O czem, gdy się dowiedzieli żydzi, wszelkimi sposobami starali się go wykraść. Raz naszli go w domu u księdza kaznodziei żółkiewskiego, ale zostali odpędzeni. Udali się do podania supliki królewiczowi Konstantemu, powiadając, że był szalonym i niesposobnym do przyjęcia chrztu św. i wiary chrześcijańskiej. Ale nic nie wskórali, bo rabin żółkiewski ze swoją starszyzną, gdy byli przyzwani do tego Serafinowicza na dysputę, przekonani od niego, musieli przyznać, że ma lepszy rozum, niżeli oni wszyscy.

I tak po Wielkiej nocy, w piątek, uroczyście ochrzczonym został dnia 25 kwietnia roku Pańskiego 1710. Trzymał go do chrztu Konstantyn królewicz z Elżbietą Sieniawską, na ten czas wojewodziną bełzką. Po przyjętym chrzcie św. postępował w wierze katolickiej i przypatrzywszy się obrządkom i artykułom wiary chrześcijańskiej, coraz bardziej poznawał złość i zaślepienie przeklętych talmudystów. Nadto wszystkie ich złości i bluźnierstwa opisał, ktore żydzi czynią przez cały rok wedle porządku świąt swoich, z takim dowodem, że i rozdział Talmudu i słowa hebrajskie bluźnierstwa żydowskiego wspomina. Przyznaje się do złości i błędów swoich, że dwa razy według nauki przeklętego Talmudu męczył dzieci chrześcijańskie, raz w mieście Rożana w księstwie Litewskiem, drugi raz w Słoninie.

Wydane już były te sekreta talmudystów od tegoż Serafinowicza do druku, ale je żydzi wykupiwszy, spalili, jam tylko manuskryptu jego dostał od tych, którzy go znali i z nim mówili.

Nasi posłowie.

Wiedeń, dnia 10 lutego 1901.

Już się posłowie zjechali. Na kurytarzach Rady państwa ruch wielki, bo to początek posiedzeń, więc każdy poseł musi być obecny, ażeby złożył ślubowanie. Wszystkie kluby zgromadzają się w swych salach i radzą, każdy po swojemu.

Niemcy, jako naród bądź co bądź zapobiegliwy, mądry, a o swą władzę dbały, ciągle radzą nad tem, ażeby na nowo przyjść do rządów, ażeby język niemiecki panował w całem państwie, ażeby oni byli pierwszymi, a Słowianie ich parobkami. Czesi walczą o swoje prawa narodowe i o swój język ojczysty. Polacy zebrani w Kole polskiem ciągle się zgromadzają i radzą, jakby pomóc ubogiemu krajowi swemu i włościanom. Stawiają piękne wnioski które jeżeli się nie urzeczywistnią, to już nie z ich winy, ale z winy innych stronnictw w Radzie państwa.

A cóż robią tam nasi chłopi i ludowcy i stojałowszczyki? Stojałowszczyków jest w Radzie państwa 5, ludowców 3 i jeden socyalista. Mała liczba wprawdzie, ale za to tem więcej pracować powinni. Lecz niestety i nie umią i nie chce im się robić. Nie umieją robić, bo nie rozumią języka niemieckiego i siedzą tam, jak na tureckiem kazaniu. A że i nie chcą robić, to zaraz opiszę.

Dnia 1 lutego, a więc w piątek, zeszli się ludowcy, stojałowszczyki i socyaliści z Wiednia do knajpy, ażeby po swojemu, bez Boga i ze złamaniem postu piątkowego, rozpocząć pracę. Gadali a gadali. A o czem? O tem, o czem wróble na dachu ćwierkoczą. Wyzywali i hańbowali panów, rząd i wszystkich, którzy ich słuchać tu w kraju nie chcieli. Żeby choć jedno mądre słowo powiedzieli, żeby choć wspomnieli, co chłopa polskiego boli i jak mu pomóc. Ale o tem nie było mowy. Bo i po co? Im chłop głupszy, tem lepiej dla nich.

I któż tam był? Daszyński z Krakowa, jeden ze wszystkich, co ma olej, a nie sieczkę w głowie. I byłby tęgim posłem, gdyby chciał spokojnie pracować, a nie jątrzyć, nie burzyć. Dlatego zdolności jego szkodę przynoszą krajowi.

Był i Stapiński, bo gdzieby tego człowieka nie było. Znają go w kraju, zna go i jego miejsce rodzinne, które go nie chciało mieć posłem, bo go zna. Ten mospanie gada a gada, długo i o wszystkiem, ale to gadanie jego funta kłaków nie warte. Czemu? Bo mało się uczył i mało umie.

Był i Bomba. Ten to nowy poseł z partyi Stojałowszczyków. Bardzo miły chłop, uzdolniony, ładny, ale straszna gorączka. Mówi płynnie, a powtarza to wszystko, co kiedy wyczytał w «Pszczółce». Szkoda go, bo jeszcze młody i gdyby tak wstąpił do Koła polskiego, toby wiele dobrego dla kraju i dla chłopów zrobił, bo by się i wiele nauczył i poznał, że tylko w kupie coś można zrobić. Daj Boże, aby wszedł na lepszą drogę, bo to dobry grunt, tylko dużo kąkolu na nim zasiano.

Był i Krępa. Ten Krępa, to człek mały, ciemny na jedno oko, wyschły, chorowity, mało umie, bo się za młodu nie chciał uczyć, ale między chłopami rej wodzi. Bardzo ograniczony, ale za to bardzo zuchwały. Ten Krępa znany tu w Wiedniu z tego, że wnosi interpelacye do rządu, które mu układa i pisze żydek Zipser, naczelna głowa ludowców. Za żydami

w piekło by poszedł. Księdza każdego zniszczyłby, jak i jego kolega Wilk. Z tego nigdy ani państwo, ani kraj nie będzie miało pociechy, bo nie dorósł do posłowania, ale że 600 koron co miesiąc chować do kieszeni miła rzecz, więc nic dziwnego, że miota się na wszystkich i między chłopami za mądrego uchodzi.

Z tego pierwszego posiedzenia może każdy nabrać przekonania, jak tam ludowcy i stojałowszczycy pracują. A szkoda! Bo kraj nasz potrzebuje dużo, bo ubogi, bo zaniedbany, bo nie ma przemysłu, bo go Niemcy gniotą, nie puszczając nierogacizny nietylko do Prus, ale nawet do Morawy i na Szląsk. Ale skoro sami chłopi polscy takich posłów wybierają, więc z tego wynika, że im musi być dobrze, a jeżeli tak, to i nie ma czego żałować.

Gdzie lepiej?

Na zachodzie świecą zorze,
Złocą nieba szlaki,
Hej! wędrują gdzieś za morze
Śpiewające ptaki.

Lecą stada, a za niemi
Idą ludu dzieci,
Bo daleko w obcej ziemi
Nadzieja im świeci.

»..Jest dostatek w tej krainie,
Cała złotem płynie...«
A więc dzieci polskich kmieci
Śnią o tej krainie.

Czyż zwiędniało szczęścia kwiecie
Na rodzinnej ziemi,
Że go w świecie szukać chcecie
Pomiędzy obcymi?

Czy nie droższe nasze łany
I ten kraj kochany,
Wioska cała, rzeczka mała,
Kościół malowany?

Czyż nie milsze stare dzwony
I te piosnki nasze,
Te ojczyste, górskie strony,
Rodzinne poddasze?

Niema szczęścia w obcej ziemi,
I nigdy nie będzie,
Najmilej nam między swymi
Na ojczystej grzędzie.

W. Łoboda.

Pszczoła.

Pszczoła była znaną człowiekowi już od najdawniejszych lat. Obraz jej spotykamy na najdawniejszych pomnikach, jakie ludzkość po sobie pozostawiła. Była ona w wielkiem poszanowaniu u ludzi, a ludy starożytne przypisywały jej nawet duszę nieśmiertelną. Polska nasza słynęła daleko z wielkiej ilości pasiek, a wosk i miód były to artykuły, za które wiele złota z zagranicy do krajów naszych przywożono. Jest wiele gatunków pszczół, jak: pszczoła zwyczajna, włoska, cypryjska, egipska i wiele innych. Z tych największe znaczenie dla nas ma pszczoła zwyczajna, znana dobrze, bo powszechnie bywa u nas hodowaną. Kraińska pszczoła, dość w Galicyi zachodniej rozpowszechniona, jest odmianą zwyczajnej. Jest wytrzymalsza na zimno, zatem mogłaby pierwszą wyrugować, ma jednak tę wadę, że jest do rójki skłonna, przez co traci wiele na wartości. Z pszczolą włoską można się tu i ówdzie w pasiece spotkać, jest od poprzedniej piękniejsza, mając ostatnie pierścienie kałduna na żółto zabarwione, jest również od niej łagodniejsza; właśnie dlatego, że jest łagodniejsza, nie mam do niej zaufania, bom zauważył, że im zjadliwsze były pszczoły, tem większy z nich miałem pożytek. Włoska pszczoła jest również jak kraińska, skłonna do rójki. O cypryjskiej i innych gatunkach nie piszę, bo mi nie są znane.

W każdym pniu dobrym znajduje się zwykle jedna matka, nieco większa od robotnicy, dłuższa i grubsza od niej. Jest samicą a jej przeznaczeniem jest składanie jajek, których w czasie silnego czerwienia znosi około 3.000 na dobę (24 godzin). Robotnic znajduje się w roju około 20 tysięcy, w silnym pniu jest ich nad 30 tysięcy. Robotnice są również samicami, tylko o niedokształconych przyrządach płciowych. Stąd pochodzi, że czasem zwykła robotnica poczyna w ulu czerwić czyli jajka składać, z których jednak lęgną się tylko same truty, o czem później będzie jeszcze mowa. W lecie widzimy w pniu także truty. Są to samce, przeznaczone wyłącznie do zapładniania matek. Tych nie powinno być wiecej nad 200 do 400 w ulu, same bowiem miodu nie zbierają, a zjadają go dużo i do tego w najlepszej jakości, karmiąc się mleczkiem sporządzonym z miodu, z obnóża i wody, tak samo, jak matka. Matka zapładnia się raz na całe życie, trut zaś, który ją zapłodnił, pada nieżywy.

Robotnica, inaczej muchą zwana, spełnia wszelkie czynności w ulu i poza ulem. Zapuszczając długi swój języczek, porosły włoskami, w kielichy kwiatowe, wydobywa z nich miód, który gromadzi w pierwszym żołądku, miodnikiem zwanym. Napełniwszy miodnik, wraca do ula ze swym słodkim ciężarem

i składa go w komórki plastrów. Inne robotnice pozostają w ulu, lecz i te nigdy nie próżnują. Jedne czyszczą komórki, w które matka składa jajeczka, inne przyrządzają z miodu, obnóża i wody mleczka, którem zalewają gąsieniczki, wylęgłe z jajeczek, inne usuwają z ula wszelkie nieczystości, obumarłe pszczółki; inne siedzą w oczku i pilnują, by się nic obcego do ula nie dostało. Nawet w nocy praca w ulu nie ustaje. Układają miód, znosząc go w jedno miejsce, a kiedy komórki są napełnione, zakrywają je woskiem (szyją), by się miód nie wylewał i nie naciągał wodą, ma on bowiem własność pochłaniania wody, a wtedy staje się rzadki i łatwo może uledz fermentowi. Kiedy się pszczoły dobrze z wiosną odżywią, poczynają ciągnąć robotę, czyli budować nowe plastry i stare naprawiać. W zimie pszczola woszczyny nie ciągnie, a to z tej przyczyny, że zjada miodu tylko tyle, ile jej potrzeba do podtrzymania życia i utrzymania ciepła w gnieździe; nie może się zatem w ciele jej wydzielać tłuszcz czyli wosk, który jest tem u pszczoły, czem łój u zwierzęcia. Zwierzę poczyna osadzać w ciele łój, kiedy się dobrze odżywi, i wosk powstaje w ciele pszczoły dobrze odżywionej. Maleńkie blaszki wosku wydobywają się u pszczoły z pomiędzy pierścieni tułowia, te bierze pszczoła w szczęki, urabia i buduje plastry. Jedne komórki plastrów są większe, w tych się lęgną truty, inne są mniejsze, z tych wychodzą robotnice. W komórki składa matka po jednem jajku, z tych po trzech dniach lęgną się gąsieniczki. Karmione obficie mleczkiem rosną szybko, a kiedy po pięciu dniach wypełnią swem ciałem całą komórkę, wtedy je pszczoły zasklepiają wieczkiem. Tu gąsieniczka przeobraża się w poczwarkę, a po 20½ dniach od zniesienia jajka wychodzi z komórki już wykształcona robotnica. Matka wykształca się w 15½, trut zaś w 23½ dniach. *S.*

Longinus Podbipięta.

(Dokończenie).

— Raz, dwa, trzy... mają ich widać zapas niemały... cztery, pięć, sześć — idą coraz wyższe... siedm, ośm... każdego psa zabiją z tych machin na naszym majdanie, bo tam muszą być strzelcy najlepsi — dziewięć, dziesięć — widać każdą jak na dłoni, bo słońce na nie pada — jedenaście...

Nagle pan Michał urwał rachubę.

— Co to jest? spytał dziwnym głosem.

— Gdzie?

— Tam, na najwyższej... człowiek wisi!

Zagłoba wytężył wzrok: istotnie na najwyższej machinie słońce oświeciło nagi trup ludzki, kołyszący się na powrozie, zgodnie z ruchem bellnardy, nakształt olbrzymiego wahadła.

— Prawda — rzekł Zagłoba.

Wtem Wołodyjowski pobladł jak płótno i krzyknął przeraźliwym głosem:

— Boże Wszechmogący! to Podbipięty trup.

Szmer powstał na wałach, jakoby wiatr przeleciał po liściach drzew. Zagłoba przechylił głowę, zakrył dłońmi oczy i szeptał zsiniałemi wargami, jęcząc:

— Jezus Marya! Jezus Marya!...

Wtem szmer zmienił się w szum zmieszanych słów, a potem w huk jakby wzburzonej fali. Poznało wojsko, stojące na wałach, że na tym hanicbnym sznurze wisi towarzysz ich niedoli, rycerz bez skazy, poznali wszyscy, że to pan Longinus Podbipięta i gniew straszny począł podnosić włosy na głowach żołnierzy.

Zagłoba oderwał wreszcie dłonie od powiek: strach było na niego patrzeć; na ustach miał pianę, twarz siną, oczy wyszły mu na wierzch.

— Krwi! krwi! — ryknął tak strasznym głosem, że aż dreszcz przeszedł blisko stojących. I skoczył w fosę. Za nim rzucił się kto żyw na wałach. Żadna siła, nawet rozkazy księcia, nie zdołałyby powstrzymać tego wybuchu wściekłości. Z fosy wydobywali się jedni po ramionach drugich, chwytali się rękoma i zębami za brzeg rowu — a kto wyskoczył, biegł na oślep, nie bacząc, czy inni biegną za nim. Bellnardy zadymiły jak smolarnie i wstrząsnęły się od huku wystrzałów, ale nic to nie pomogło. Zagłoba leciał pierwszy z szablą nad głową, straszny, wściekły, podobny do rozhukanego buhaja. Dopieroż kozacy skoczyli także z cepami, z kosami, na napastników i rzekłbyś: dwie ściany uderzyły się z łoskotem. Lecz syte brytany nie mogą się bronić długo głodnym i wściekłym wilkom. Wyparci z miejsca, cięci szablami, darci zębami, bici i gnieceni, kozacy nie wytrzymali furyi — i wnet zaczęli się mieszać, a potem pierzchać ku otworowi. Pan Zagłoba szalał; rzucał się w największy tłum, jak lwica, której zabrano lwięta; chrapał, ciął, mordował — deptał! Pustka czyniła się przed nim, a przy nim szedł jak drugi płomień niszczący, Wołodyjowski, podobny do rannego rysia.

Strzelców, ukrytych w bellnardach, wycięto w pień, resztę goniono aż za otwór w wale. Potem żołnierze weszli na bellnardę i odczepiwszy pana Longina, ostrożnie spuścili go na ziemię.

Zagłoba runął na jego ciało...

Wołodyjowski również serce miał rozdarte i zalewał się łzami na widok martwego przyjaciela. Łatwo było poznać, jaką pan Longinus zginął śmiercią, bo całe ciało było pokryte centkami od ran, przez groty zadanych. Twarzy tylko nie popsuły mu strzały, prócz jednej, która zostawiła długą rysę na skroni. Kilka kropel krwi zakrzepło mu na policzku, oczy miał zamknięte, a w bladem obliczu uśmiech pogo-

dny i gdyby nie chłód śmierci w rysach — zdawaćby się mogło, że pan Longinus śpi spokojnie. Wzięli go wreszcie towarzysze i ponieśli na barkach do okopu, a stamtąd do kaplicy zamkowej.

Do wieczora zbito trumnę i pogrzeb odbył się nocą na cmentarzu zbaraskim. Stanęło wszystko duchowieństwo ze Zbaraża, prócz księdza Żabkowskiego, który w ostatnim szturmie w krzyże postrzelon, bliskim był śmierci; przyszedł książę zdawszy dowództwo staroście krasnostawskiemu i regimentarze i pan chorąży koronny i Skrzetuski i Wołodyjowski i Zagłoba i towarzystwo chorągwi, w której nieboszczyk służył. Ustawiono trumnę nad świeżo wykopanym dołem — i ceremonia się rozpoczęła.

Noc była cicha, gwiaździsta, pochodnie paliły się równym płomieniem, rzucając blask na żółte deski świeżo zbitej trumny, na postać księdza i surowe twarze stojących wokoło rycerzy.

Dymy z kadzielnicy wznosiły się spokojnie, roznosząc zapach mirry i jałowcu; ciszę przerywało tylko tłumione szlochanie pana Zagłoby, głębokie westchnienia potężnych piersi rycerskich i daleki grzmot wystrzałów na wałach.

Lecz ksiądz Muchowiecki wzniósł rękę na znak, iż poczyna mówić, więc rycerze oddech wstrzymali, on zaś milczał jeszcze chwilę, potem utkwił oczy w gwiaździstych wysokościach i tak wreszcie mówić począł:

— «Cóż to tam za stukanie słyszę po nocy w niebieskie podwoje? — pyta sędziwy klucznik Chrystusowy. — Otwórz, święty Pietrze, otwórz! jam Podbipięta. — Lecz jakież to uczynki, jakaż to szarża, jakie to zasługi ośmielają cię, Mości Podbipięto, tak zacnego furtyana niepokoić? Jakiemże to prawem chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chciażby tak znane jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu purpury, jeszcze same przez się wolnego wstępu nie dają? Dokąd nie gościńcem szerokim, w poszóstnej karecie, z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspinać się trzeba? — Ach! Otwórz święty Pietrze, otwórz co prędzej, bo właśnie taką stromą ścieżyną szedł kommiliton i drogi towarzysz nasz, pan Podbipięta — aż wreszcie przyszedł nagi, jako Łazarz, przyszedł, jako święty Sebastyan, strzałami pogańskiemi podarty, jak Hiob biedny, czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy — bez zmazy grzechowej, z ofiarą krwi, dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej. Puść go święty Pietrze, bo jeżeli jego nie puścisz — kogóż puścisz w tych czasach zepsucia i bezbożności. Puść-że go. święty klucznikul puść tego baraneczka; niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża...»

W taki to sposób rozpoczął mowę ksiądz Muchowiecki, a następnie tak wymownie odmalował cały żywot pana Longina, iż każdy lichym się sobie wydał wobec tej cichej trumny rycerza bez skazy, który najmniejszych skromnością, największych cnotą przewyższał. Bili się tedy w piersi wszyscy i coraz większa ogarniała ich żałość i coraz raźniej widzieli, jaki to paroksyzm ojczyznę, jaka niepowetowana strata Zbaraż dotknęła. A ksiądz unosił się i gdy wreszcie począł opowiadać wyjście i śmierć męczeńską pana Longina, wtedy już całkiem o retoryce i cytatach zapomniał, a gdy począł żegnać martwe zwłoki imieniem duchowieństwa, wodzów i wojska, sam się rozpłakał i mówił, szlochając, jak Zagłoba: «Żegnaj nam bracie, żegnaj towarzyszu! Nie do ziemskiego króla, lecz do niebieskiego, do pewniejszej instancyi odniosłeś nasze jęki, nasz głód, naszą mizeryę i opresyę — pewniej tam jeszcze ratunek nam wyjednasz, ale sam nie wrócisz więcej, więc płaczemy, więc łzami trumnę twą polewamy, bośmy cię kochali, bracie najmilszy!»

Płakali za zacnym księdzem wszyscy i książę i regimentarze i wojsko, a najbardziej przyjaciele zmarłego. Lecz gdy ksiądz zaintonował po raz pierwszy: Requiem aeternam dona ei Domine! — uczynił się ryk powszechny, choć to wszystko byli ludzie zahartowani na śmierć i codzienną praktyką oddawna do niej przywykli.

W chwili, gdy trumnę położono na sznurach, pana Zagłoby trudno było od niej oderwać, jakby mu brat albo ojciec umarł. Lecz wreszcie odciągnęli go Skrzetuski z Wołodyjowskim. Książę zbliżył się i wziął garść ziemi; ksiądz począł mówić: Anima ejus. Zahurgotały sznury — ziemia poczęła się sypać, sypano ją rękoma, hełmami — i wkrótce nad zwłokami pana Longina Podbipięty urósł wysoki kopiec, który oświeciło białe, smutne światło miesiąca.

Jeden z naszych przyjaciół przyobiecał umieszczać w naszem piśmie porady prawnicze. Będziemy umieszczali je pod tytułem:

Pogawędki i porady.

Brak oświaty, znajomości życia i oszczędności bywa w dzisiejszych czasach powodem nieszczęść bardzo wielu, dlatego też jest wielkim obowiązkiem wszystkich rodziców, dziatki swoje pilnie do szkoły posyłać, bo czego się w szkole nauczą, tego im ani ogień nie spali, ani woda nie zabierze. Mając trochę oświaty w głowie nie dadzą się wyzyskać lichwiarzowi, ani Abramkowi z karczmy, ani pokątnemu pisarzowi. Ta trójka ludzi bez serca, bez miłości bliźniego, jest rzeczywistą plagą i klęską naszego ludu.

Między pisarzem pokątnym, żydem z karczmy, a lichwiarzem, zachodzi bardzo wielkie podobieństwo. Rzec o nich można, że to bracia rodzeni. Każdy

z nich podszywa się pod płaszczyk przyjaciela ludu, każdy z nich mieni się jego wybawcą, obrońcą, ale w rzeczywistości każdy z nich, wyłudza i wyzyskuje, i to ile tylko może, krwawo zapracowany grosz i w podstępny sposób rujnuje nieraz do szczętu nawet zamożnych ludzi.

Z lat studenckich tkwi mi obraz w pamięci, a choć kilkanaście lat upłynęło, przypominam sobie najdokładniej postać pisarza pokątnego z jednej podgórskiej wioski. Znając stosunki ludowe, gdy widzę, ile krzywd wyrządzają pisarze pokątni naszemu ludkowi, postanowiłem publicznie zabrać głos w tej sprawie, aby, choć słabemi siły, podać głos rady, za którym idąc, uwolnić się można od tych wyzyskiwaczy.

Nieznany nikomu, przybył do wioski. Usłużny karczmarz, któremu rozpijanie włościan jakoś się nie udawało, z otwartemi rękami przyjął pisarza do siebie, użyczył mu mieszkania, wiedział bowiem dobrze, że komornik ten będzie dla niego źródłem obfitych zysków a może i utoruje mu drogę do tytułu »pana dziedzica«.

Pobyt przybysza już po upływie półrocza okazał się strasznym w skutkach. Karczma, która przed jego przybyciem przeważnie świeciła pustką, w niedzielę i święta, a często nawet i w dnie robocze, nie mogła pomieścić proceśników, szukających porady u pokątnego pisarza. Pisarz ciągnął obfite zyski za swoje porady bez wartości, a karczmarz, zaciskając ręce z radości usłużnie roznosił trunki między siedzących już to za gotówkę, już to na bórg, ale tylko rolnym gospodarzom. Wnet zniknął z wioski spokój w rodzinie i zgoda z sąsiadem, a miejsce ich zajęły spory, swary i kłótnie. Bezskuteczne były perswazye kilku sędziwych gospodarzy, głos ich był głosem wołającego na puszczy, a i ten zamilkł, jak echo w dali. Tymczasem dobrana para rządziła w gminie a jak srogie było to panowanie, trudno opisać. A jak się skończyło, zapyta czytelnik? Krótko odpowiem: Pisarz zasądzony za zbrodnię oszustwa, w więzieniu swój żywot zakończył. A karczmarz? Ten na licytacyi kupił dwór w gminie i został panem dziedzicem.

Tak to żydzi bogacą się naszą pracą, łatwowiernością, brakiem oświaty, a korzystając ze słabych stron natury ludzkiej, wydziedziczają nas z ziemi ojczystej.

Ludek nasz umie wprawdzie pracować, pracuje pilnie i wytrwale, a jego wytrwałość w pracy chwali zagranica, ale z drugiej strony — co niestety ze smutkiem przyznać trzeba — wielu nie umie szanować krwawo zapracowanego grosza, a jak tylko coś grosza zarobi, wydaje go na nieszczęsną gorzałkę, która duszę i ciało zabija, a majątki oddaje w ręce żydowskie; wielu porzuca dawne piękne i trwałe stroje, zastępując je obcym, lichym wyrobem. Jaskółeczka uciekając przed zimą het! het! za morza do ciepłych krajów, w czasie tej podróży widzi niejedno świecidełko w drodze, mądre jednak ptaszę nie zabiera go, lecz wróciwszy w rodzinne strony, z rodzinnego błota gniazdko buduje, my zaś niestety zobaczywszy w świecie pstre strojne świecidełka, czemprędzej się w nie stroimy, nie pytając, czy dobre, czy tanie, czy zdrowe, a przecież jesteśmy ludźmi, a jaskółka tylko ptaszkiem.

Gdy czytelniku wyjdziesz oglądnąć łan twojej pszenicy, zobaczysz wielkie, piękne kłosy, ale zobaczysz i maluczkie zaledwie o 2 lub 3 ziarnkach, a zobaczysz także kąkol i inne chwasty, których na roli swej przecież nie posiałeś. W całej przyrodzie dokąd tylko spojrzysz, wszędzie zobaczysz to zjawisko, że między dobre rzeczy, zamięsza się jakoś coś złego. Tak i między ludźmi. Charaktery ludzi są rozmaite. Jedni pilni, pracowici, oszczędni, uczciwi, u drugich przymioty te znajdują się w mniejszym stopniu, a są i tacy, którzy są tylko pasożytami pracy cudzej. Do takich pasożytów należy także pisarz pokątny. Ten się uczciwej pracy nie imie, ten się jej wstydzi, a żyje tylko pracą cudzą.

Ustawa wprawdzie surowo karze te pijawki, lecz nie zdołamy oczyścić z nich biednego kraju, jeżeli wszyscy wspólnemi siły nie będziemy działać. Mrówki tak małe stworzonka, dlatego że wspólnie i zgodnie pracują, zadziwiają nas budową swoich domków (kopców), dlaczegóż my silni rozumem nie mielibyśmy zdziałać tego wszystkiego, co sił ludzkich nie przechodzi? Potrzeba do tego tylko silnej woli, potrzeba tylko chcieć.

Lecz wrócę do pisarzy. Choć nie mają oni najmniejszego pojęcia o prawie, niestety znajdują posłuch u ludu, zyskali zaufanie, a nawet, jak to mówią rej wodzą, w niektórych okolicach, a sprawiedliwość jest bezsilna, gdyż sam lud ich ukrywa i zataja.

Ze smutkiem przyznać trzeba, a zdarza się to dosyć często, że taki pisarz pokątny kilka lat gospodaruje bezkarnie w cudzem mieniu, aż go przecież przez jakiś przypadek sprawiedliwość dosięgnie.

Temu raz należy koniec położyć.

Jeżeli ja się nie nauczył u szewca butów robić, próżne moje trudy, abym je potrafił zrobić. Panicz z miasta nie uorze zagona, gdyż nie umie z pługiem się obchodzić.

Skądże więc, pytam się was czytelnicy, pisarz pokątny ma znać prawo, którego np. w sądownictwie jest mniej więcej 10.000 paragrafów, których się nie uczył, a których jako niewykształcony zrozumieć nie może? Skądże on może radzić w sporach, które sędziom, wykształconym prawnikom, nieraz nasuwają pewne wątpliwości?

Nie może zatem pisarz pokątny udzielić zdro-

wej rady, a udzielić może chyba tylko takiej, która jemu samemu korzyść przyniesie.

Za dawnych ustaw procesowych, procesy ciągły się latami i przez to były bardzo kosztowne i rujnowały procesujących się. Wtedy dla pisarzy pokątnych były dla pisarzy pokątnych były istotne zbiórki, gdyż wielu proceśników wyprowadzili na dziatków ogródek. Tacy proceśniki, którzy poprzód mieli ładne majątki, chwycili za kij żebraczy, a jeszcze i dzisiaj znajdziemy prawie w każdej wiosce takich, którzy drugiemu udzielić mogli kawałka chleba, którego sami teraz łakną. Zapytaj się go czytelniku, co jest powodem jego nędzy, a on ci odpowie: »pisarz pokątny i wódka«.

Wedle nowych ustaw procesowych, proces szybko bywa przeprowadzony i ukończony.

KRONIKA.

Bieńkówka, dnia 25 stycznia 1901 r.

Często się zastanawiałem, jakby nasz lud wśród zimy rozerwać i urozmaicić mu trochę szarą jednostajność. Mamy w naszym zakątku górskim Kółko i Czytelnię ludową, gospodarze i parobcy lubią czytać i chętnie w niedziele i święta schodzą się po nieszporach na pogadanki i odczyty, które mam ja albo p. nauczyciel. Urządza się potem różne rozprawy, zwłaszcza o rzeczach praktycznych, gospodarskich i tak czas pożytecznie schodzi. Ale wielu jest takich, którzy zamiast do czytelni, wolą iść do sklepu (wprawdzie katolickiego, bo żydowskich Bogu dzięki nie mamy) kopcić cygary i pić nędzne, fałszowane wino. Wprawdzie nie upijają się, bo tu po niedawno odbytej misyi trzeźwość panuje, ale zawsze niejeden grosz idzie na „słodkie wino“, z którego potem porządnie głowa boli. Aby tych nieprzyjaciół oświaty, a miłośników „słodkiego wina“ i kart pociągnąć do czytelni, myślałem z początku urządzić „Jasełka“, ale koszta urządzenia znaczne, brak kostyumów stanął na przeszkodzie. Wtedy wpadłem na myśl, czyby nie można urządzić przedstawienia amatorskiego. Przedstawienie takie we wiosce, gdzie (jak to mówią) „świat deskami zabity“, gdzie oprócz dwóch księży i nauczyciela niema więcej ani na lekarstwo nikogo z „inteligencyi“, to rzecz dość ryzykowna. Ale „nie Święci garnki lepią“, razem z zacnym a przedsiębiorczym miejscowym nauczycielem p. Mazurkiem i przy życzliwej pomocy p. Bedzonka, nauczyciela z Jachówki, wybrałem najzdolniejszą młodzież dorosłą, rozpisaliśmy role i za dwa tygodnie daliśmy znaną sztukę Anczyca „Chłopi arystokraci“. Sala była pełna, a ciekawość obecnych do najwyższego stopnia podniecona, jakie to będzie przedstawienie? Niektórzy pytali mnie kto będzie chodził po linie, bo to „pono będzie komedya“. Jak zaczęła „pani Kogucina“ się nadymać i wychylać kieliszki, jak „pan Kapral“ zaczął szwargotać z głupia po niemiecku i taliańsku, to sala trzęsła się od śmiechu.

Po ukończeniu przedstawienia, które bardzo poprawnie odegrano, wystąpiłem i wypaliłem krótką, a praktyczną naukę tej treści: „Jak widzę, to przedstawienie bardzo was zajęło i zabawiło. Widzieliście rzecz przedstawioną, jak była w rzeczywistości. Wiem ja, że wszyscy od wódki przysięgaliście na misyi, abyście się tedy nie gorszyli i nie myśleli, że aktorowie na scenie wódkę łykają, muszę wam powiedzieć, że ta wódka pochodzi ze studni i jest zabarwiona sokiem malinowym. Taką wódkę wszyscy zawsze pić możecie. (Śmiech). Juści, że prawdziwa Kogucina prawdziwą wódkę piła, bo była to brzydka pijaczka i Heród baba. Widzieliście, jak wszystkimi rządzić chciała, jak pragnęła być panią i nic nie robić. Słyszeliście, jak „pan Kapral“ kaleczył niemiłosiernie mowę polską różnymi obcymi dziwolągami. Chodzi z was wielu na robotę do Prus lub na Węgry; pamiętajcież, żeście Polakami i katolikami, nie paskudźcie waszej ojczystej mowy obcemi słowami. Widzieliście, jak chytry arendarz oszukiwał i zdzierał głupich chłopów, jak ich rozpijał i namawiał do złego — strzeżcie się żydów i karczem jak zarazy zawsze i wszędzie. Strzeżcie się pijaństwa, nie pragnijcie cudzego, ale pracujcie i oszczędzajcie, a nie zaznacie biedy. A teraz powiedzcie, jaka osoba w tej sztuce najbardziej wam się podobała?“ Większość oświadczyła, że Marcinek, bo „nie chciał iść do karczmy, nie chciał pić wódki, nie chciał być żołnierzem i ludzi zabijać, a wszystkiemi siłami bronił swej ukochanej Marysi — dzielny to był parobczak“. Na zapytanie, jaka osoba najbardziej się im nie podobała, była jednogłośna odpowiedź: „Mojsiek, bo szachraj i zdzierca, a po Mośku to Kogucina, bo pijaczka!“

Potem najpoważniejsi gospodarze ze swym inteligentnym i poczciwym wójtem, Józefem Rusinem na czele, serdecznie dziękowali mnie i p. nauczycielowi, żeśmy im zgotowali taką miłą rozrywkę „bez pijatyki, bez obrazy Boskiej“ i bardzo prosili, żeby jeszcze nieraz takie przedstawienie im urządzić. Potem przy akompaniamencie muzyki góralskiej odśpiewaliśmy kilka najpiękniejszych kolend i tak miło i trzeźwo zakończył się ten wieczór. Czysty zysk z przedstawienia, wynoszący kilkanaście koron, obróciliśmy na zakupienie pewnej ilości dobrych a większych książek, jakich nam brak w czytelni. Obecnie przygotowujemy nową sztukę Anczyca „Flisacy“.

Te rzeczy piszę nie dlatego, aby pochwalić siebie lub kogo innego, ale aby niejednego człowieka inteligentnego na wsi zachęcić do podobnej pracy. Obecnie o teatrze ludowym tyle rozprawiają, i słusznie, bo takie sztuki przyczyniają się nietylko do umoralnienia ludu, ale za kilka centów dają mu nader potrzebną a miłą rozrywkę. Zamiast spędzać czas wolny w swej dymnej chałupie lub w sklepie za stołem truć się nędzną mieszaniną, która się nazywa „winem“ i wdychać odór dymu fajczanego, lepiej będzie, gdy pójdzie na przedstawienie i ubawi się serdecznie. Kończąc tę moją pisaninę, kreślę się dla Sz. Redakcyi z należnym szacunkiem

Wasz prenumerator i przyjaciel *ks. S. J.*

Z Czańca. W niedzielę 27 stycznia szalał u nas gwałtowny wicher, miotąc przechodniom w twarz zimny śnieg i deszcz. Z kilku chat dachy pozrywał. Była to jakby grozy pełna muzyka do dwu tragicznych wypadków, które w ten dzień miały miejsce. Najpierw w Porąbce dwu braci Mreńców od dawnych czasów po ojcach jeszcze uprawiających kłósownictwo leśne, pokłócili się podobno o zwierzynę i brat brata pobił omal, że nie na śmierć. Widać ród Kainów błąka się jeszcze na ziemi.

W tęż niedzielę nagle na udar sercowy zmarł w Czańcu 80-letni gospodarz Jan Mynarski, ojciec 14 żyjących bogobojnie wychowanych dzieci, z których najmłodsza 10-letnia Józia chodzi jeszcze do szkoły. Był radnym w gminie i poważanym od wszystkich. Na taką samą chorobę i w tejże prawie godzinie zachorzała na Bukowcu gospodyni Maryanna Brzuchańska i oto podwójnie dzwonią dziś dzwony żałobne.

We fabryce papieru p. Fiałkowskiego w Białej dwie dziewczęta, zbliżywszy się nieostrożnie do maszyny, zostały za suknie porwane i w ciężki sposób potłuczone. Z tych jedna była robotnica z Czańca wdowa Ewa Hudecka. Dziś w szpitalu w Białej w strasznych cierpieniach oczekuje zmiłowania Bożego.

Robotnicy nie bądźcie nigdy zbyt poufali z maszynami! Za uprzejmość Szan. Redakcyi w zbieraniu składek na naszego pogorzelca serdeczne „Bóg zapłać!“

Zaraza pyskowa i racicowa. Profesor Löffler wynalazł lekarstwo przeciw zarazie pyskowej i racicowej. We wszystkich wypadkach, w których zastosowano wynalezione lekarstwo (serum), uzyskano wyniki pomyślne. Lekarstwo to może stosować tylko weterynarz.

Przestroga. Pisze nam jeden z czytelników: Dnia 22 zm. we wtorek udała się pani N. z Dębnik celem zakupna rozmaitych produktów do Krakowa na Rynek Główny. Należy dodać, że pani owa jest wytrawną gospodynią. Znalazłszy się pomiędzy sprzedającymi zwierzynę bitą na Rynku, usłyszała, jak służąca tłomaczyła swojej pani, że ten zając jest wart 1 złr. 70 ct. i pokazała go pani, lecz ta, nie podzielając zdania służącej, zaofiarowała jednak 1 złr. 50 cnt., lecz, sprzedający zająca, góral nie zgodził się. Pani więc ze służącą odeszły, a przybliżyła się do górala z zającami pani N. z Dębnik, a wiedząc już o cenie i uznając, że zając był wart tyle, gdyż wyglądał pokaźnie i był dość ciężki, przytem miał ślady krwi od strzału. Po krótkim targu więc pani N. zapłaciła góralowi 1 złr. 60 ct. za zająca i nniosła go zadowolona z dobrego kupna do domu. Jakież było jej zdziwienie, gdy rozpłatawszy zająca, nie znalazła żadnych wnętrzności i tłuszczu, o który jej głównie chodziło, natomiast wnętrze zająca wypełniał podłóżny zlepek gliny, który dawał taką wagę zającowi i podnosił jego wartość. Że taka rzecz mogła się zdarzyć na Rynku, gdzie tylu miejskich oficyalistów się kręci — to dziwna bezwątpienia. A mówią, że górale się nie emancypują! Że górale nie idą z postępem! (Przyp. Red. był to zwykły oszust, jakich dziś nie mało, lecz nie można tego przypisywać góralom w ogólności).

O zakładaniu powiatowych szpitali. „Przedświt“, który obecnie we Lwowie wychodzi i tak znakomicie, jak żadne inne pismo codzienne, jest redagowany, podnosi w numerze 14 myśl zakładania powiatowych szpitali i podaje zaraz środki, jakichby można użyć do urzeczywistnienia tej wielkiej myśli.

Oto grzywny i kary nakładane przez władze sądowe, polityczne i autonomiczne za przekroczenia i przestępstwa, wynosiły z końcem roku 1899 przeszło jeden milion koron.

Wydziały powiatowe oddają z końcem każdego rokn zebrane grzywny gminom, z których one grzywny zostały ściągnięte. Wójci zaś rozdzielają te pieniędze według swego widzimisię ubogim.

Niektóre gminy zakładają zaś z tych pieniędzy gminne szpitale, przytułki, ochronki, albo oddają Wydziałom powiatowym w celu założenia jakiejś dobroczynnej instytucyi.

Wina marnowania owych pieniędzy leży w ustawie gminnej, która poleca zwracać te grzywny gminom.

Otóż wskazanem by było, ażeby włościanie w petycyach do sejmu wysyłanych, domagali się zmiany ustawy w tym kierunku, ażeby owe grzywny pozostawały pod zarządem Wydziału powiatowego, któryby osobno tym majątkiem administrował, i w razie osiągnięcia z oprocentowania znaczniejszej sumy zakładał powiatowe szpitale, któreby później sam powiat subwencyonował.

Sprawa to doniosła. Sądzimy więc, że może któryś z posłów sejmowych poruszy tę sprawę osobnym wnioskiem. Brak lekarzy po gminach, odległość znaczna od wielkich szpitali, ubóstwo ludu sprawiają, iż wiele ludzi po wsiach nmiera, chociażby mogli żyć, gdyby jaką taką opiekę lekarską mieli. Prosimy naszych czytelników o wypowiedzenie swego zdania w tej tak ważnej sprawie.

Skrzynka na listy.

Jan Wróbel, Kłyż. Wierszyk otrzymaliśmy. Będzie w następnym numerze.

Kazimierz Mach, w Cz. i Marya Smagałowna, w Trzc. Rozwiązanie poprzedniej zagadki było dobre.

Ignacy Chila, w G. Już dobrze. Zgoda!

Stan. War. Prosimy posłać. Chętnie wydrukujemy, jeżeli będzie dobre. List wysłany.

Odpowiedź na zadanie z Nr. 6.

Trzy bochenki i ćwierć ważą 13 kilogr.

Dobrze obliczył: Ks. J. Szewczyk i J. Kucia. Nadesłane inne rachunki były niedokładne.

Szarada.

Ułożył W. Łoboda.

Drugie i trzecie drogę wskazać może,
Zbłąkanym w stepie, myśliwemu w borze,
Trzecie i pierwsze w modrej igra fali —
Całość: król Polski — bił tęgo moskali.

Zadanie.

Ile zdań można ułożyć z następujących zgłosek: bin, ka, nie, ra, sie, żyd?

Ceny targowe.

W Krakowie 12 b. m.

Pszenica biała 8·30 do 8·60 kor. Pszenica czerwona 8·20 do 8·50. Żyto 7·25 do 7·60 kor. Jęczmień browar. 6·50 do 7·30 kor. Jęczmień na kaszę 6·20 do 6·40. Owies 6·60 do 6·85. Wszystko za 50 kilogramów.

Kalendarz kościelny.

17. Niedziela, Zapust. Sabina. — 18. Poniedziałek, Konstancyi p. — 19. Wtorek, Konrada w. — 20. Środa, Popielec. Leona. 21. Czwartek, Eleonory p. — 22. Piątek, Katedr. św. Piotra. — 23. Sobota, Florentego.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.